Rok II. Kraków, dnia 16go Lipca 1870. Ner 14.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

PRENUMERATA: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
LISTY I PRENUMERATĘ przesyłać należy pod adresem: Do redakcyi „**Włościanina**" Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.
OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

KILKA SŁÓW OD NOWEJ REDAKCYI.

Szanowni i zacni Czytelnicy nasi! Z numerem dzisiejszym objąłem redakcyję *Włościanina.* Cieszę się z tego niewymownie i pragnę z tego powodu przemówić do Was słów kilka. Znacie mię z prac moich, które rok drugi umieszczam w tém piśmie. Niektórzy może znają mię już dawniéj, bo od lat kilku pisywałem do *Dzwonka, Kmiotka,* a później do *Katolika* i do obecnie wychodzącej we Lwowie *Chaty.* Dzisiaj rozpoczynam w imię Boże pracę moją w obszerniejszym zakresie i ośmielam się wyrzéc, że powoduję się jedynie tylko gorącą chęcią, abym choć w części przyczynić się mógł do dobra i oświaty naszego ludu, to też pragnę go zachęcać do pracy, nauki, oszczędności, do wypełniania powinności swejego stanu, a nadto odwodzić go od przestarzałych przesądów i nałogów, aby prowadził pobożne, uczciwe i pracowite życie. Będzie tedy staraniem mojém, aby *Włościanin* był prawdziwie pożytecznėm pismem, aby Czytelnicy nie żałowali grosza, którym popiérają usiłowania nasze. Odtąd będzie wychodził najregularniéj i zawiérać będzie następujące przedmioty:

Żywoty znakomitych ludzi, sławnych rolników, przemysłowców, a szczególnie tych, którzy się w jakimkolwiekbądź zawodzie odznaczyli cnotą, pracą, oszczędnością, męztwem, poświęceniem — legiendy — podania, klechdy i baśnie — obrazki i wspomnienia z dziejów naszych — opisy kościołów — piękne przykłady — opisy znaczniejszych miejsc w kraju naszym — opowiadania o ludach, zwyczajach i obyczajach — o różnych zakładach na ziemi naszéj — przemysł — wiérsze — bajki powiastki z życia domowego — ryciny — rady o zachowaniu zdrowia — rzeczy o szkole — rady gospodarcze — opowiadania o różnych wynalazkach, odkryciach— opowiadania z nauk przyrodniczych (o ziemi, ciałach niebieskich, o zjawiskach w naturze, o zwiérzętach pożytecznych, roślinach, kruszczach, grzybach) — wzory listów — przegląd polityczny — kalendarz rozmaitości — polecenia dobrych książek — zagadki —historyjki ucieszne — przysłowia — przypowieści— ceny zboża i t. d.

Ceniąc położone w nas zaufanie, chcielibyśmy ile możności jak najlepiéj odpowiedzieć zadaniu naszemu; prosimy więc każdego dobrze myślącego o najłaskawsze podanie nam rad i wskazówek, a mamy błogą nadzieję, że Szanowne Duchowieństwo i Szanowni PP. Nauczyciele poprą usiłowania nasze nadsyłaniem odpowiednich artykułów i przyjdą nam również w pomoc zachęcaniem do najliczniejszéj przedpłaty, aby tem możliwiéj postawić nasze pismo na téj stopie, na jakiéj je z całego serca widzieć pragniemy. Jest bowiem życzeniem naszém, ażeby pismo niniejsze częściéj niż dotąd wychodzić mogło. To atoli zależy od szanownych Czytelników naszych. Pukam więc do serc Waszych i proszę najusilniéj, bądźcie nam życzliwi i otwiérajcie nam chaty Wasze, do których nieść pragniemy pożytek i pociechę, bośmy Wasi najszczersi przyjaciele. A gdybyście o czém wątpili, przyszlijcie do nas zapytanie, my Wam najchętniej odpowiadać będziemy.

Jeszcze raz wpraszamy się w chaty Wasze i prosimy o łaskawe przyjęcie!

Józef (z Bochni) Chmielewski.

ZAMEK MELSZTYN.

Różne to sprawy ma człowiek na swojéj głowie, to też często wypadnie mu za niemi wyjechać z domu. Ale dla człowieka ciekawego jest to rzecz bardzo miła, bo pozna rodzinną ziemię, a nadto usłyszy wiele ciekawych rzeczy.

Otóż i mnie wypadło zeszłéj jesieni, jechać do Zakliczyna miasteczka o sześć mil od Bochni, a trzy mile od Tarnowa odległego. Leży ono na równinie za Dunajcem, a mieszkają w niém prawie sami szewcy. Jest tu piękny kościół farny, a niedaleko za miastem wznosi się klasztór OO. Reformatów.

Załatwiwszy około południa moją sprawę, poszedłem natychmiast do owego klasztoru. Na szczęście był odmknięty; wchodzę do środka, ale oprócz siwiutkiego zakonnika, nikogo tu nie zastałem. Rozglądam się naokoło; aż po lewéj stronie w kościele obaczyłem wielki nagrobek marmurowy, niby ołtarz jaki, z bardzo długim napisem. Zbliżam się tedy do zakonnika i pochwaliwszy Pana Jezusa, w te go pytam słowa:

— A co też to być może? — wskazując ręką.

— A to widzicie są grobowce Tarłów, z których Zygmuunt Tarło, kasztelan Sądecki, człek bardzo zacny i pobożny, sprowadziwszy do Polski zakonników św. Franciszka, wystawił dla nich 1622 r. drewniany klasztor, który w lat 34 Szwedzi złupili, spaliwszy Zakliczyn do szczętu...

— O to wiem o tém — przemówiłem zaraz — że Zakliczyn należał do znakomitej rodziny Zaklików i od niéj ma swoję nazwę, a Tarłowie byli dziedzicami Melsztyna...

Zakonnik spojrzał się na mnie, że ja tak mówię jakby z książki, i okazał zadziwienie.

— Ale tego nie wiem — powiedziałem — gdzie tu jest ów Melsztyn?

Siwiutki staruszek wyprowadził mię z kościoła, a wskazując w północną stronę za Zakliczyn tak przemówił:

— Otóż tam z drugiéj strony Dunajca, między lasami, na wysokiéj górze stérczą rozwaliny Melsztyna!

Spojrzałem w tę stronę i tak się zachwyciłem wspaniałym tym widokiem, że mi w piersi serce zapukało.

— O, tam być muszę! — rzekłem do zakonnika żegnając się z nim uprzejmie.

Była może piérwsza godzina po południu. Kazałem zaprządz konie i wskazaną drogą jechałem na przewóz, by się dostać na drugą stronę. Od Dunajca po skalistéj drodze jechałem do góry, i przybyłem do wioski Gwoździec zwanéj, która leży niadaleko od Melsztyna. Od téj wioski na dół płynie niewielka struga, i tworzy głęboką fosę, będącą podobno dawniejszém korytem Dunajca, który tedy płynąc, oblewał z trzech stron ogromny zamek.

Kazałem stanąć parobkowi, a sam poszedłem oglądać omszone mury Melsztyńskiego zamku. Zmęczyłem się mocno, bo góra, na któréj on stoi, jest wielkiego rozmiaru. Ale za trudy cudnego doznałem widoku. Z dala widać na prost miasteczko Zakliczyn, na lewo wysokie skały, najeżone drzewami; na prawo w odległości przedstawia się drugie miasteczko Czchów, a dołem szumi kręty i bystry Dunajec. Na wyniosłej górze stérczy jeszcze tylko kilka ścian grubych i wysokich, przy których w kąciku stoi chata mała, a do około widać szczątki murów i baszt narożnych. Mury otaczające zamek były bardzo szérokie.

Wtém nadszedł chłopek mieszkający przy zwaliskach zamku. Wnet rozgadaliśmy się ze sobą, a on mi pokazywał ślady, gdzie były sale i komnaty pańkskie, gdzie stajnie i więzienia; gdzie była kaplica zamkowa.

— Jak widać z tego wszystkiego — zagadałem do chłopka — musiał to być ogromny zamek!..

— O! moi kochani! — odrzekł chłopek — to była warownia bardzo wielka. Będzie rok temu, jak w te strony przybył pan jeden, a miał książkę z obrazkami. Na jednym z nich był Melsztyński zamek Przyglądałem się mu ciekawie, a pan mi opowiadał, że zamek ten miał trzy piętra i pokrycie z czerwonej dachówki. Z zamku miał prowadzić bardzo długi most na słupach aż na drugą stronę szérokiego Dunajca, bo państwo z zamku wyjeżdżali tędy w dalekie strony lub na nabożeństwo do klasztoru OO Reformatów.

— Ha, to pewnie trudny był przystęp do tego zamku powiedziałem.

O, pewnie że trudy — odpowiedział chłopek — kiedy tylko jedna dostępna droga prowadziła z góry do zamku, właśnie przez tę fosę, którą płynie struga. Po nad fosą był żelazny most zwodzony a za nim warowna brama ze strzelnicami w górze.

Potém zaprowadził mię chłopek do głębokiego dołu i powiedział, że tędy jest wchód do ogromnych piwnic zamkowych. Obawiając się jakiego smutnego wypadku nie miałem ochoty zejść pod ziemię.

Wyszedłem na złom muru i przypatrywałem się prześlicznemu zachodowi słońca. Widok to był nadzwyczaj wspaniały. Niebawem zaczynało się robić ciemno, a gdy zeszedłem z góry, mrok zapadł zupełny. Zamyśliłem tedy zanocować w Gwoździcu, aby nie puszczać się nocą w nieznajomą drogę. Pewien gospodarz przyjął mię ochoczo; konie umieścił w szopie, mnie zawiódł do izby.

Na kominie gorzał ogień. Gospodyni i służące krzątały się koło wieczerzy. Gospodarz poczęstował mię, jak to mówią: czém chata bogata tém i rada— co spożywszy z apetytem, wszcząłem z nim pogwarkę to o świecie, to o naszym kraju, aż nareszcie zacząłem z nim mówić o Melsztyńskim zamku.

— To wy przecie mieszkając u stóp tak wspaniałych rozwalin, musicie znać historyję tego zamku?

— A zkądby tam człowiek wiedział? — zagadał chłopek machając ręką.

— Darujcie! — powiedziałem — ale to wstyd wielki, żeby mieszkać przy takiej pamiątce historycznéj i nic o niéj nie wiedzieć. Owoż jeźli zechcecie, to ja wam opowiem cokolwiek o Melsztyńskim zamku.

— O, to dobrze! — zawołał chłopek — jeżeli tylko łaska wasza.

Kto był w izbie słuchał uważnie, a ja rzecz tak tłomaczyłem:

— Zamek Melsztyński jest bardzo stary, bo już w 13. wieku wspominają go dzieje. Gdy umarł Bolesław Wstydliwy, król polski, mieszkała w tym zamku 1279 r. żona jego św. Kunegunda. Później był on własnością Spicimira czyli Spytka, którego Władysław Łokietek sprowadził do Polski, bo go na tułactwie gościnnie przyjmował w swoim zamku nad Renem. A działo się to 1305 roku. Ten Spytko był bardzo zamożnym panem, dzielnym rycerzem na polu bitwy, a w państwie wielkim dostojnikiem; był on

największym doradzcą Władysława Łokietka, gdy ten wiódł wojnę z Czechami. A kiedy po śmierci Władysława Łokietka objął rządy syn jego, Kazimirz Wielki, Spytko nie stracił swojego znaczenia, owszem jeszcze coraz większych doznawał zaszczytów. Był wielkim ulubieńcem króla Kazimirza. Odbiérał od niego różne przywileje, wsi i zamki, to też fortuna Spytka pomnażała się coraz więcej. A choć to był cudzoziemiec, ukochał on prawdziwie nową ojczyznę i wiele dla niéj robił dobrego. Fundował Tarnów zupełnie nowo, a oprócz tego czynił liczne zapisy i wznosił pobożne zakłady. Umarł po 1357. roku, jak sobie dobrze przypominam. Zostawił po sobie dwóch synów: Jana i Rafała. Jan był kasztelanem krakowskim i panem na Melsztynie, dla tego się pisał Jan z Melsztyna; Rafał był kasztelanem wiślickim i panem na Tarnowie. Od tych dwóch synów pochodziły dwie rodziny: od Jana Spytka Melsztyńscy, od Rafała Tarnowscy. Obaj ci bracia mieli także po dwóch synów, z których syn Jaśka Spytek z Melsztyna bardzo się zasłużył w ojczyznie naszéj. Wiécie może o tém, że po śmierci Kazimirza Wielkiego został królem polskim Ludwik, król węgierski. Owoż król Ludwik Spytka z Melsztyna, zaledwie dopiéro 16 lat mającego młodzieńca, zrobił wojewodą krakowskim, bo cenił w nim wielką zręczność i wymowę a szczególnie odwagę i męztwo, czego na wojnie niejednokrotnie dał dowody. Panowie polscy bez względu na wiek młody pokochali także Spytka, ufali mu bardzo, to też był on posłem nieraz w najważniejszych sprawach państwa. Jego to była sprawa, że córka Ludwika, piękna Jadwiga, została królową polską. A kiedy Jagiełło, książe Litewski, starał się o jéj rękę, on użył środków, że małżeństwo przyszło do skutku. Wjeżdżającego do Krakowa Jagiełłę witał Spytek na czele dostojnych panów polskich, i chwilę tę upamiętnił piękną swą mową. Jagiełło szczérze przywiązał się do Spytka, polegał na jego radach, a w dowód wdzięczności darował mu na własność całe Podole, gdzie sobie panował jakby jaki książę z rodu Piastów. Aż na wyprawie przeciw Tatarom poległ bohaterską śmiercią 12 Października 1399. r.

— A któż potem posiadał Melsztyński zamek? zapytał gospodarz.

— A nie kto inny — odpowiedziałem — tylko krewni Spytka. Posiadali go Tarnowscy, potem Jordanowie, Tarłowie, z których niejaki Zygmunt postawił klasztór OO. Reformatów w Zakliczynie, a w końcu mieli go na własność Lanckorońscy. W 1771. roku zajęli go konfederaci barscy, których ztąd wyparto. W tymże czasie zapalono zamek i do tego stopnia zniszczono, iż się już więcéj nie podźwignął. W późniejszym czasie, bo już za naszéj pamięci, ludzie z okolicznych wiosek przyczynili się do tém większego spustoszenia, dla tego tylko kilka ścian pozostało na pamiątkę późniejszym czasom...

Tu podumaliśmy trochę, aż po pewnym czasie gospodarz, u którego zostałem na noclegu, tak się odezwał:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NOCNI PASTERZE.

Podajemy Wam dzisiaj, kochani Czytelnicy, drugą, o wiele piękniejszą od poprzedniéj pracę Macieja Szarka, włościanina z pod Wieliczki, i sądzimy, że ona Wam sprawi wielką przyjemność. Dziwić się potrzeba, że Maciej przy tylu kłopotach i zabiegach swoich znajdzie czas na czytanie wielu pożytecznych książek i na pisanie do składu tak pięknych rzeczy. Przekonać się ztąd można, że *kto chce, ten może*, i że dobréj woli i wytrwałości nic trudnego na przeszkodzie stanąć nie może. Maciej Szarek jest tedy pięknym przykładem dla drugich, a daj tylko Boże, abyśmy w krótkim czasie o wielu innych kmiotkach naszych podobnie napisać mogli. A teraz prosimy o przeczytanie jego pracy!

JACEK I IGNACY.

Jacku! kogut już pieje; wkrótce będzie świtać,
Pojedziesz?... Ej boję się!... Co się tam masz pytać;
Zajedziemy szkapami po cichu od lasa...
Powiadam ci, Jacenty, trawa aż do pasa!..
— Ale wiész co, Ignacy, że Marek pilnuje?
Może nam konie zajmie i grzbiet wygarbuje...
Szkapy zmykać nie będą, bo są dosyć liche;
Wiécha w łące!.. Mój Jacku, co ci tam o wiéchę!
Marek ledwie do domu trafił po omacku;
Spił się wczoraj na chrzcinach... Zbiérajże się Jacku,
I jedźmy!... Ha! to jedźmy! Po co próżno gadać,
Ale pasąc bydlęta, nie trzeba z nich zsiadać,
Bo jakby się gdzie Marek poruszył z za krzaka,
Kijem szkapy bo bokach i w lasy drapaka!..

Więc tedy cichuteńko Jacek i Ignacy
Pojechali paść konie swoje w ludzkiéj pracy,
Nie pomnąc, że się pan Bóg takim człekiem brzydzi,
Że chociaż to noc ciemna, ludzką krzywdę widzi,
Że człowiek nic nie zrobi przed Nim pokryjomu...
Niech tam pasą, my chodźmy znów do Marka domu.

Jadwiga: Co chcesz, Marku?.. Spiesz się ze śniadaniem
Chciałbym dziś ciołki napaść jeszcze przed świtaniem,
Bo jutro dość roboty ciąży mi na karku...
Trzeba wzmocnić bydlęta!.. Gdzie pojedziesz, Marku?..
— Ma tam Jacek z Ignacym na szóstém stajaniu
Owies taki jak trzcinę — a o pilnowaniu
Całkiem nie pomyśleli... Widziałem w téj chwili
Jak obydwa gdzieś za wieś na koniach ruszyli...
— Ha to jedź, a ja powiem, że pasłeś w wąwozie,
Ale krótko przytrzymuj woły na powrozie,
By się czego nie zlękły... Gdyby pilnowali,
To wprowadź w środek owsa, żeby nie poznali...
— Jużciż że tak zrobię, już świtanie blizko,
Zdrzémij się jeszcze trochę — a ja na pastwisko!..

I znowu nocny Marek, tak jak robią drudzy,
Poprowadził swe ciołki popaść w owies cudzy,
Bo ludzie na tym świecie w to nigdy nie wierzą,
Że jaką miarką dają, taką im odmierzą.
Paśże sobie, mój Marku, poznasz po niewczasie,
Że ten, co mu ty w owsie, tobie w łące pasie!..

Gdy po nocy dzień nadszedł, a lud wstał do pracy,
Szli w pole: nocny Marek, Jacek i Ignacy,
Gdyż z chęcią każdy rolnik ogląda swe kłosy —
Patrząc jak błogosławią téj pracy niebiosy,
Bo bardzo sprawiedliwe są dla ludzi nieba;
Ztamtąd mamy dostatek powszedniego chleba;
Bóg nigdy nie zawiedzie rolnika w nadziei,
Ale cierpieć niemoże łotrów i złodziei...
Te zarazy, te grady, to od Stwórcy kara,
Bo złych naszych postępków przebrała się miara.
Prawda, Bóg sprawiedliwy, Bóg pełen miłości,
Ale jakże tu żądać od Niego litości,
Gdy każdy prawie człowiek na téj naszéj roli,
Nie uczyni zadosyć świętéj Jego woli...

Przeklina nocny Marek widząc szkodę w trawie;
Klnie Ignacy i Jacek w tymże czasie prawie,
Bo im owies spasiono w pośrodku stajania;
Pełno wszędzie złorzeczeń, gniewu, narzékania,
Ciskają na niewinnych niesłuszne potwarze —
A pan Bóg patrzy z nieba i pewnie ukarze!...

Maciej Szarek
włościanin z pod **Wieliczki.**



Idą nakoniec na strych, a tu karczmarka cała krwią zbroczona leży przy kominie.

ZDRADZIECKI PIERŚCIEŃ

powieść z prawdziwego zdarzenia.

Dawniejszemi czasy na ustroniu za miastem stała murowana karczma, do któréj co święto i niedziela schodzili się ludzie z miasta, a często gęsto odprawiały się w niéj wiejskie wesela. Szczególnie zaś gdy ludzie wracali z targu lub jarmarku, to już zakażdym razem głośna zabawa przy piwie, miodzie lub wódce przeciągała się tutaj aż do rana.

Każdy podróżny, którego noc zaskoczyła, albo gdy nie chciał pojść do miasta, mógł w téj karczmie dostać nocleg a nawet i wieczerzę jaką, a jeżeli miał wóz i konie, mógł je umieścić w stajni, która była tuż przy karczmie.

O karczmarzu a właścicicielu téj gospody przeróżne między ludźmi krążyły wieści. Jedni mówili, że karczmarz ma grube pieniądze, bo co noc chodzi z bandą łotrów, okrada ludzi, a potém się z nimi dzieli; inni znowu mówili, że każdego bogatego, który u niego zostanie na noclegu, obdziéra do szczętu, a potem zabija i zakopuje gdzieś za swojém polem. Grzészne to były gadki i na przekonaniu nie oparte, to téż więcéj było takich, którzy mówili, że karczmarz jest prawym człowiekiem, że uczciwym sposobem przyszedł do pieniędzy, a byli nawet i tacy, którzy się przysięgać chcieli, że karczmarz nie ma pieniędzy, że go ludzie tylko umyślnie bogaczem robią, aby nie dać do poznania, że on ma długi.

Ja zaś, moi kochani, nie mogę wam powiedzieć jakim on na prawdę był człowiekiem, bo go zupełnie nie znałem, ale to twierdzić mogę, że musiał mieć pieniądze, kiedy zawsze taki dobry miał odbyt.

Niebawem wyjechał karczmarz późną jesienią w jakiéjś sprawie na kilka dni z domu. W podróży jednak przeziębił się bardzo, i kiedy tylko przybył do domu, zaraz się uskarżać zaczął, że mu coś dolega, że się czuje słaby, aż też i na prawdę położył się w łóżko. Żona zamiast udać się zawczasu po mądrą radę do lekarza, nazwoływała ze wsi przeróżnych bab, które zaraz wzięły się do okładów i smarowania; inne robiły jakieś uroki i zażegnywania; bo mówiły, że go ktoś urzekł. Ale karczmarzowi zamiast polepszenia pogorszyło się w tak zatrważający sposób, iż lada chwila miał już wyzionąć ducha. W ostatnim tedy razie posyła karczmarka na gwałt po lekarzy, lecz gdy ci przybyli, zastali już trupa.

Jakie wtedy było zmartwienie, nie trzeba wam opisywać.

Wnet téż zjechali się krewni i odprawiono pogrzeb.

Po pogrzebie mówią krewni do wdowy po karczmarzu:

— I cóż teraz będziesz tu robiła sama? Wiemy, że ci obmierznie to ustronie, toż pewnie sprzedasz posiadłość twoję i przyjedziesz do nas; my cię z otwartemi rękami przyjmiemy w naszych progach, a staraniem naszém będzie, by zatrzéć smutek, jaki cię obecnie trapi... Biédna z ciebie kobiéta!

— Nie inaczéj uczynię, moi kochani! — odpowie wdowa — bo cóżbym tu robiła sama? Nie mam dzieci a zgryzota moja nie miałaby końca i wszystkie tu kąty przypominałyby mi bez ustanku okropne nieszczęście, jakie mię nawiédziło. Zostanę tu jeszcze do Nowego roku, a po załatwieniu wszystkich moich sprawunków przyjeżdżam do was, aby w gronie waszém szukać pokrzepienia dla zbolałéj duszy mojej, dla strapionego serca mojego!..

I wybuchła głośnym płaczem.

Niebawem rozjechali się krewni a w wielkiej karczmie została się tylko sama wdowa ze starą Janową, która od lat pietnastu wierną była jéj sługą. Wdowa nie zaniechała szynku, ale jak dawniéj trunki sprzedawała, ale od tego czasu mało już kto zaglądał do karczmy, chociaż skołatana wdowa chętnie każdego widywała, bo przy rozmowie z nim zapominała chociaż na krótko o swoim smutku. Czasem tylko zjawiali się z miasta przebiegli ludzie, którzy chcieli zbadać skołataną wdowę, czyby nie miała ochoty pójść za mąż, a nawet czynili jéj już rozmaite przedstawienia, ale wszystkie żadnego nie odniosły skutku. Wdowa liczyła sobie dnie i godziny, aby jak najprędzéj pojechać do swoich krewnych i niewidzieć okropnej dla niej karczmy.

W tem prawie w samą wiliję Bożego Narodzenia przychodzi do karczmy dwóch nieznajomych ludzi. Byli to dwaj czeladnicy. Jeden stolarz, drugi krawiec.

Kiedy weszli do izby, pochwalili Boga i mowiąc:

— Z dalekiéj idziemy drogi a w mieście, które z tąd widać, trudno dzisiaj napastować ludzi, kiedy wszyscy zajęci być muszą, a zresztą zdaje nam się otwarcie mówiąc, że tutaj pobyt przez święta wypadnie nam daleko taniéj, jeżeli tylko pani na to zezwolić raczy.

— O i owszem, moi panowie! — odrzeknie wdowa — będzie mi nawet bardzo przyjemnie że będę obce osoby miała przy swoim stole. Co do przyjęcia nie można więc panom odmówić, bo to już u nas taki zwyczaj, a ja się trzymam wedle przodków naszych gościnności.

I byli obaj czeladnicy nietylko na wilii u owéj wdowy, ale zasmakowawszy w jéj życzliwości zostali chętnie przez całe święta i o różnych rzeczach rozmawiali. Ciekawy krawiec wnet przewąchał wszystkie zamiary owdowiałej karczmarki; dowiedział się od niéj w szczerém zeznaniu, kiedy i ile za swoję posiadłość odbierze pieniędzy i kiedy wyjechać zamierza. Ułożył sobie tedy tak swoje sprawy, aby ile możności pod różnemi pozorami jak najdłużéj pozostać na gospodzie majętnéj wdowy. Przez czas pobytu swego w domu wdowy, uciekał się do różnych pochlebstw, a nawet i rad co do jéj postąpienia nie szczędził jak się wyrażał — z szczerej życzliwości za łaskawe przyjęcie.

Nadszedł nareszcie dzień Nowego Roku. Karczmarka załatwiwszy już swoje sprawy, miała po południu po oddaniu kluczów właścicielom wynająć wózek i do krewnych odjechać. Janową już od dwóch dni do wsi wyprawiła.

W tem popołudniową porą przychodzi krawiec i tak się do karczmarki odzywa:

— Komu droga temu czas. Sprawiłem już wszystko jak się patrzy; trzeba się puścić daléj w podróż. Ale droga pani, mój tobołek jest na strychu, bo mi go Janowa tam schowała.

— Ale na strychu nie ma najmniejszej rzeczy, wszystko ztamtąd pozbiérane i do krewnych wywiezione. A jak sobie przypominam, tobołka tam żadnego nie było. Byłam przecież przy ładowaniu.

— Janowa miała go schować gdzieś za kominem. Niech pani ze mną pozwoli, my go znaléźć musimy; a cóż bym ja biédny robił bez tobołka? To przecie cały mój majątek! — wtrącił przebiegły krawiec.

I poszła z nim na strych nierozważna wdowa, gdy wtem krawcowi zaiskrzyły się oczy i raptownym sposobem zarzuca jéj na szyję ukryty pod surdutem sznurek aby głosu nie wydała, wyjmuje nóż z kieszeni i *przy silnem szamotaniu się w najokropniejszy zabija ją sposób.* Aby ukryć okropną sprawę, zamyka drzwi od strychu, wpada spiesznie na dół, zabiéra przygotowaną torebkę z pieniądzmi a zamknąwszy dobrze dom cały, znika bez śladu i wieści.

Mija tydzień; krewni piszą po karczmarkę, ale żadnéj nie otrzymują wiadomości. Piszą drugi raz i pytają czy przypadkiem nie chora, a że i na drugi list nie dostają odpowiedzi, przyjeżdżają sami, stają przed karczmą, otwierają, ale karczma zamknięta. Idą prosto do miasta i pytają o karczmarkę tych, którzy od niej posiadłość zakupili.

A ci mówią:

— Jako żywo karczmarki po wypłacie nie widzieliśmy wcale. Dziwi nas bardzo, że dotychczas do nas nie zagląda. Miała popołudniu w nowy rok przyjść do nas, oddać klucze, a że nie przyszła, zaglądaliśmy do karczmy, ale zewsząd pozamykana; byliśmy pewni, że do państwa odjechała.

Idą tedy wszyscy do urzędu i wyjawiają rzecz całą. Zaraz zarządzono komisyję. Odemknięto karczmę, przeszukano wszystkie kąty, ale nigdzie ani śladu. *Idą nakoniec na strych, patrzą, a tu karczmarka cała krwią zbroczona leży przy kominie.* Podejrzenie padło na tych, co dom kupili, aby się wywinąć od zapłaty. Rozpoczęto śledztwo. Każdy się wypiera i pod przysięgą zeznaje, że o niczém nie wié a co do zapłaty, prawie w nowy rok ją otrzymała. Wreszcie dowiedział się sędzia, że u karczmarki służyła Janowa, z téj a téj wsi rodem. Piszą po nią, Janowa staje. Pyta się sędzia:

— A kiedyś ty odeszła ze służby od karczmarki?

— Dwa dni przed nowym rokiem.

Pokazało się, że ludzie karczmarkę w wiliję nowego roku widzieli w mieście. A więc Janowa niewinna. Pyta się jéj sędzia znowu:

— A nie bywał tam kto z miasta? Nie bywali ci o to, co tu stoją — dodał wskazując na teraźniejszych właścicieli karczmy.

— Bywali, ale pierwéj. W ostatnim czasie nie widziałam ich nigdy. Ale od wilii Bożego narodzenia byli u nas dwaj czeladnicy: stolarz i krawiec.

— A jak oni wyglągali? dokąd poszli? — mówi sędzia.

Tu opisała Janowa szczegółowo każdego z osobna i dodała, że krawiec był jakiś podejrzliwy człowiek, a dokąd obaj poszli, niewiadomo. Sąd rozpisał zaraz gończe listy.

Zanim sprowadzono owych czeladników, z trupem przedsięwzięto oględziny. Kiedy za pomocą ciepłej wody ściśniętą pięść u prawej ręki otworzono zabitej wdowie, znaleziono w niej pozłacany pierścień.

Jak zeznała Janowa, nie był on własnością zabitéj. Schowano go jako rzecz podejrzliwą.

Niebawem przybyli obaj czeladnicy.

Po długich wysłuchiwaniach i pytaniach udowodnił stolarz, że jeszcze za życia opuścił dom karczmarki i zupełnie w inną niż krawiec poszedł drogę. Krawca nie znał dawniéj; poznali się dopiéro w wiliję Bożego narodzenia zeszedłszy się na drodze. A więc stolarza od téj sprawy uwolniono, lecz na czas niejaki zatrzymano. Inaczéj rzecz się miała z krawcem. Surowa jego mina, spojrzenie dzikie znamionowało zbrodniczego człowieka. Oddalenia się z domu zamordowanéj nie mógł należycie udowodnić. Na niego padło podejrzenie. Bronił się jednak zawzięcie, kłamał na ciężki kamień, a przecież łapał się ustawicznie.

Tymczasem sędzia użył ciekawego sposobu. Do odebranego krawcowi tobołka wrzucił pokryjomu znaleziony pierścień; po tém wyjmuje pojedynczo każdą drobnostkę i pyta czy do niego należy, jak długo ją ma, z kąd ją wziął itd.

Wyjmuje potém wrzucony pierścień i pyta:

— A czy ten pierścień jest także twoją własnością?

— Moją.

— To rzecz musi być kradziona?

— Jak mi Bóg miły, moja własna!

A czy stolarz, z którym przez święta mieszkałeś u zabitéj, widział go u ciebie?

— Tego nie wiem; zdaje mi się, że widział.

Przesłuchano stolarza; zeznał, że pierścień jest własnością krawca.

Wtedy rzekł sędzia:

— Przekonanałem się, że wszystkie rzeczy w tobołku są twoje. Teraz powiédz raz jeszcze czy pierścień do ciebie należy?

— Z pewnością do mnie.

— Kiedy na nim nie twoje są znaki. Widzimy na nim M. K. a powinny być: F. D.

— Dostałem go od Maryi Kozickiéj, z którą się miałem żenić.

— A więc kiedy go nosiłeś na palcu, bo tak stolarz zeznaje, z kądże się wziął w twoim tobołku?

Na to nie umiał dać odpowiedzi. Oczy mu się okropnie zaiskrzyły; na twarz gorący wystąpił rumieniec. Zaczął się zapiérać, że pierścień nie jest jego. Była więc pewność, że krawiec zbrodnię popełnił. Wystąpili świadkowie i głośno zeznali, że pan sędzia pierścień z literarami M. K. znalazł w ręce zamordowanéj karczmarki, następnie go włożył do tobołka poszlakowanego krawca, który rzeczywiście do niego się przyznał. W tedy powstał pan sędzia i z innymi panami wyszedł do przyległego pokoju. Po naradzie wychodzą wszyscy, a pan sędzia dobitnie wygłasza:

— Franciszek Dębczak, 24 lat mający, rzemiosła krawieckiego, z powodu dowiedzionéj zbrodni morderstwa skazany na 20 lat ciężkiego więzienia.

Po tych słowach zemdlał krawiec a upadając na ziemię, słabym westchnął głosem:

— O zdradziecki pierścieniu! coś mi ty narobił!

Po chwili zrobiło mu się lepiéj, powstał na nogi i zawołał:

— O moi panowie! w piersi mię pali. Ja popełniłem zbrodnię! Zetnijcie mi głowę, kiedy mię pierścień wydał... Wielka to prawda, że zbrodnia nigdy się nie ukryje.

Po kilku tygodniach na Franciszka Dębczaka ze strony Sądu Wyższego zapadł wyrok śmierci.

Niebawem stracono go przez powieszenie.

Przekonajcie się teraz, moi gospodarze, do czego to łakomstwo doprowadzić może. Zbrodnia nigdy zatrzeć się nie da, a pieniądze w ten sposób nabyte na nic dobrego nie wychodzą!

Józef z Bochni.

SOL KUCHENNA.

Jak bez ognia i wody, tak bez soli niemasz kuchni. Jest to przyprawa nie tylko najpotrzebniejsza i najprzyjemniejsza, ale jeszcze najnieodzowniejsza dla naszego życia, dla naszego trawienia, pożywienia i tworzenia soków. W naszéj krwi przypada 62 procent soli na stałe w niéj zawarte pierwiastki; łzy nasze, pot, śliny, żółć pełne są soli i dla tego sól stanowi ważną część zadań kuchennych, do których najgłówniéj policza się utrzymanie życia i zdrowia ludzi. Sól podnosi stopień gorącéj wody i wstrzymuje zwierzęce i roślinne pierwiastki od zgnilizny. Gospodyni każda, kucharz lub kucharka powinni się starać o dobrą sól, znać się na niéj i wystrzegać od kupowania sfałszowanej. Zła jest sól niekształtna, nie skrystalizowana, bez połysku, łatwo rozpuszczająca się na powietrzu i nieprzeźroczysta na kroplę rozpuszczona. Dobrą sól poznaje się po połysku, krzyształach białych sześciennych, po zapachu przyjemnym i smaku niegorzkim. Sól nie posiadająca tych przymiotów jest domięszana z gipsem, ałunem itd. Sól nie powinna się przechowywać w naczyniach metalowych, bo te rozczyniają się w wilgoci i udzielają soli trucizny kruszcowéj. Najlepszém przeto i najstósowniejszém do przechowania soli jest z drzewa wyrobione naczynie lub garnek kamienny.

P. R.

Przypomnienia dla gospodyń.

Wół niespracowany dochodzący lat sześciu, najlepszy na mięso — podobnie krowa dobrze karmiona.

Cielę przynajmniéj dni 14 dni żyć powinno przed biciem.

Wieprz mający mniej niż lat dwa daje dobre mięso.

Skopy pod jesień najsmaczniejsze.

Gęś najsmaczniejsza w szóstym miesiącu; po roku nie pomoże karmienie, mięso twarde, łykowate.

Kaczki powinny być karmione przez 14 dni przed zarznięciem; z wody wprost niesmaczne; najlepsze sześciomiesięczne.

Indyk tylko do dwóch lat ma smaczne mięso.

Mięso *koguta* czerwone niesmaczne.

Gołębie tylko młode dobre, dzikie lepsze. *Bekasy, słonki, kuliki, cietrzewie* najsmaczniejsze w jesieni, *kuropatwy* wcześniéj.

Drozdy, kwiczoły, céranki pod jesień najlepsze.

Szczupak najlepszy w lutym, lipcu; mléczaki lepsze od ikrzaków.

Węgórz dwułokciowy najlepszy. Najsmaczniejszy w maju, czerwcu i lipcu.

Karpie z krótką, szarą głową, brzuszkiem twardym i żółtawym najsmaczniejsze.

Raki najlepsze w czerwcu.

Ku... Pol...

KALENDARZ.

Lipiec ma dni 31.		
Dnie		Święta Rzymskie
Ewangelia u Marka św. w rozdziale 8. O nakarmieniu 4000 ludzi.		
17	Niedziela	6 po Swiąt. Aleksego wyz.
18	Poniedziałek	Szymona z Lipnicy wyz.
19	Wtorek	Wincentego z Pauli wyz.
20	Sroda	Cesława wyz.
21	Czwartek	Daniela, proroka.
22	Piątek	Maryi Magdaleny.
23	Sobota	Teofila męczen.
Ewangelia u Mat. św. w rozdziale 7. O fałszywych prorokach.		
24	Niedziela	7 po Swiąt. Krystyny panny.
25	Poniedziałek	Jakóba apost.
26	Wtorek	Anny Matki N. P. M.
27	Sroda	Jukunda i Antusa męcz.
28	Czwartek	Inocentego P. i Peregryna.
29	Piątek	Lucylla M. i Marty Gosp.
30	Sobota	Heleny wdowy.
Ewangelia u Łuk. św. w rozdziale 5. O niesprawiedliwym szafarzu.		
31	Niedziela	8 po Swiąt. Kunegun. K. i J.

WSCHÓD I ZACHÓD SŁONCA.

Wsch. sł. d.	g.	m.	Zach. g.	m.	Dł. d. g.	m.
4	4	0	8	8	16	8
9	4	4	8	6	16	2
14	4	9	8	1	15	52
19	4	15	7	56	15	41
24	4	21	7	51	15	30
29	4	27	7	44	15	17

Przegląd polityczny.

„Przyjaciel ludu,“ wychodzący w Chełmnie, tak pisze o tém, co się dzieje w świecie. Nic a nic ciekawego i ważnego nie wydarza się w świecie. Każde państwo ma biédę ze sobą, i nad tém sobie smaży głowę, jakby utrzymać jak najwięcéj wojska, jakby się uzbroić i przygotować najlepiéj na wypadek wojny. To téż wszędzie skargi na wysokie podatki między ludem, a u ministrów kłopoty, zkąd brać pieniądze, jak już tam przeżywać coraz to nowe podatki. Zwykle w takich czasach bywają różne domysły a nawet wprost kłamane bez powodu pogłoski o tajnych zmowach między gabinetami, o niebezpiecznych oznakach bliskich zatargów i wojny. Teraz nawet i tego nie ma — taka po świecie susza. To tylko zapisać można, że król pruski do wód do Ems wyjechał, że césarz Napoleon choruje często, że Hiszpanie króla sobie znaleźć nie mogą dotąd, że w Portugalii nowy minister reformy zaprowadza, że we Włoszech ciągle rewolucyjne wrzaski, a w Austryi z wielką gorączką sposobią się do rozmaitych wyborów. Aleć to rzeczy wiadome i nie ciekawe. U nas przygotowania do wyborów postępują, lecz jakoś ospale i jak z kamienia. Natomiast krzątają się bardzo gorliwie około założenia dwóch szkół rolniczych: dla włościan w Jabłowie pod Pelplinem, dla większych gospodarzy w Żabikowie pod Poznaniem. Z Warszawy smutne znowu nadchodzą wiadomości. Policyja zapowiada, że car Aleksander będzie powracał z wód przez Warszawę, kilka dni tam zabawi i wielkie łaski dla kraju ogłosi. W łaski carskie nikt naturalnie nie wierzy, bo takie obietnice, to stara moskiewska sztuczka, powtarzająca się zawsze, ile razy car lub carewicz jaki do Polski przybywa.

Nadto wiedzą w Warszawie bardzo dobrze, jak ze zdrowiem i z rozumem cara. Ale ciężarów, przykrości i kosztów przybyło ztąd Warszawianom nie mało. Nakazano znowu malować i bielić wszystkie domy, czynić rozmaite upiększenia kosztowne w mieście, a na dobitkę zakazano ubiérać się w czarne suknie. Policyjanci znowu jak psy zerwali się i węszą wszędzie, nadsłuchują i szpiegują, o każde słówko, nawet o niewinną jaką nutę polską ludzi niepokoją i do kary pociągają. Rozesłali do właścicieli domów rozkaz, żeby mieszkańcom swoim nie pozwalali nosić czarnych sukien, będzie więc znowu ztąd plaga na biédnych właścicieli, bo kary pieniężne posypią się gradem i pójdą w kieszenie urzędników.

Prześladowanie katolików, mianowicie księży, wzmaga się nieustannie; obdziérają i zamykają kościoły nasze, a coraz to więcéj budują cerkiew moskiewskich, choć Bóg widzi, szyzmatyków nie ma, a kilku rozrzuconych urzędników Moskali i tak z cerkwi popów, Boga i djabła szydzi, bo to niedowiarstwo między nimi, jak między bydłem.

Co się tyczy postanowień i uchwał Soboru, tych najpewniéj i najlepiéj dowiemy się z pastérskich listów naszych biskupów, jako jedynych do tego uprawnionych sposobów ku ogłaszaniu nauki kościoła.— Na Soborze samym toczą się ciągle narady w konferencyjach jeneralnych, które nie są publiczne i dla tego tajemnicą pokryte.

Teraz roztrząsano tam sprawę nieomylności Ojca św.; rządy, jak francuski, austryjacki i pruski, czyniły ministrowi papieskiemu przedstawienia, że się obawiają, aby nauka o nieomylności, nie narobiła w ich państwach zamętu i nie naruszyła tych zasad, na których prawa krajowe oparte. Minister papieski odpowiedział, że kościół patrzy tylko tego, co do niego należy, a w tém niczego nie pominie i niczém sobie przeszkadzać nie będzie. Sobór zaś jest wolny i słucha jedynię Ducha ś., którego pomoc Zbawiciel mu zapewnił. Ucichły więc rządy po takiéj odprawie, a Sobór robi swoje daléj.

Ojciec św. zdrów. Dnia 17 b. m. rozpoczął 25ty rok swego papiestwa. X. Sosnowski, jedyny z pod Moskala kapłan na Soborze, niedostatek podobno

cierpi. Duchowni Wielkopolscy postanowili przyjść mu w pomoc składką.

Na miejsce wywiezionego X. Piotrowicza, mianowany został dziekanem i proboszczem przy kościele św. Rafała ks. Kulesza, który przyznać trzeba, z radością stósuje się do wymagań odstępcy Żylińskiego i spełnia wszelkie podłości z poświęceniem się godném lepszéj sprawy. Obecnie postanowili splugawić czyn pobożny i odważny X. Piotrowicza, do czego tém bardziéj zostali pobudzeni, że podobno pisma zagraniczne doniosły, jakoby Ojciec nasz święty w Rzymie sam miał mszę św. na jego intencyją i za wytrwałość wiernych kapłanów w tém ciężkiém u nas prześladowaniu kościoła. Urządzono więc nowy adres, wzywając wszystkich kapłanów do podpisu z oświadczeniem, że ks. Piotrowicz był łotrem, pijakiem, rozpustnikiem, buntującym księży przeciw zwierzchności duchownéj i świeckiéj, słowem rewolucyjonistą. O ten ostatni tytuł najbardziéj chodzi, bo sami nawet Rosyjanie ze szczególną czcią i zadziwiającą sympatyją odzywają się, o tym mężnym obrońcy naszych świętych Ołtarzy. Śledztwo nad nim telegrafem z Petersburga było zabronione; nikt zatem sądzić go tu nie śmiał. Wzywano go do komisyi, aby mu to samo oświadczyć, i z uszanowaniem go traktowano. Żyliński usilnie obstawał za tém, że powinien być śmiercią karany, ale mu powiedziano, że ks. Piotrowicz nie dopuścił się żadnéj winy przeciwko rządowi, a zatem i na karę śmierci nie zasłużył. Snać opinija Europy staje jeszcze rządowi na zawadzie, bo chcieliby w cały świat wmówić, że Litwa jednozgodnie, dobrowolnie i z radością przyjmuje prawosławie. Lubo więc ks. Piotrowicz sam na śmierć był przygotowany i przed oném mężném wystąpieniem swojém, wszystkiéj chudoby swojéj się zbył, zachowując przy sobie tylko 25 rubli „dla kata,“ poprzestano jednak na wywiezieniu go do Archangielska, zkąd już były o nim wiadomości. Postrach ks. Żylińskiego ogromny w całém mieście. Wszędy ma swoję policyję, liczną a czynną i głośno się z tém odzywa przed wszystkimi, że ktoby o nim śmiał co powiedzieć, całe życie tego pożałuje, bo władzę ma nieograniczoną i potrafi jéj użyć. Niestety! wszyscy to czują. Rosyjanie powszechnie nim gardzą, ale uczęszczają do niego, bo dobrze karmi i poi i pieniądze daje.

W przeszłym tygodniu znowu zamknięto kościół w Turgielach w Oszmańskiem. Rozpacz i jęk wielki parafijan; chcą pójść ze skargą do césarza; biédni! nie wiedzą, że napróżno.

ROZMAITOŚCI.

Piękny przykład. Z początkiem t. m. opuścił Podgórze JMść ks. Franciszek Wolff udając się na otrzymane probostwo do Zaborowa. Zacny ten kapłan był w Podgórzu lat 9. Był on powszechnie szanowany tak z prawości charakteru jak i nauki swojéj, to też powstał żal nie mały, gdy się dowiedziano, że już wkrótce opuści Podgórze. Żal ten powiększył się bardziéj, gdy wymowny ów kapłan żegnał się w kościele z przywiązanym do siebie ludem.

Dnia 4. t. m. sprawiono dla dobrego kapłana ucztę, w czasie któréj pito jego zdrowie, ofiarowano upominki a w końcu wręczono mu ozdobnie drukowany arkusz, na którym te były wiérsze:

Opuszczasz nas, Szanowny i Zacny Kapłanie!
Działalność swą przenosisz w inne, dalsze strony;
Pamięć Twoja jednakże w pośród nas zostanie,
I będziesz nam obecny, chociaż oddalony!

Nasze błogosławieństwo i dobre życzenia
Weźmiesz z sobą, Kapłanie, na nowe siedlisko,
A tu kłosy moralne z nauk Twych nasienia
Róść będą — więc dalecy, będziem jednak blizko.

Kapłańskiém słowem albo głosem przyjaciela
Słodziłeś nasze chwile smutku i niedoli,
Dzieliłeś także z nami godziny wesela,
Byłeś dobrym pastérzem ludziom dobréj woli.

Dziś gdzieindziéj Cię święty obowiązek wzywa,
Przyjm więc od nas te proste i poczciwe słowa:
Niech Ci serc kochających tyle tam przybywa,
Ile ich wśród nas wdzięczność dla Ciebie zachowa!

Po przeczytaniu tych słów rozczulony kapłan nie był wstanie więcéj powiedzieć jak tylko: Niech wam za wasze serca pan Bóg zapłaci!

Wszystkim stanęły łzy w oczach a każde serce prawdziwemi przepełnione było uczuciami.

Niech Bóg błogosławi tak poczciwemu kapłanowi!

Nieszczęśliwy wypadek. Pewien rzemieślnik w Wiedniu kazał sobie dać piwa w piwiarni; wlał do niego rozczyn sinku potażu i część napoju wychylił. Powstał, wyszedł do sieni i tam padł. Wśród tego zbliża się do stołu pewien urzędnik grający w bilard i zamiast swoje piwo, wychyla do dna resztę piwa zatrutego. Samobójcę uratowano, a ten, co przypadkiem wypił po nim truciznę, umarł.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Nakład i własność Salomei Jordan. W Drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.